

Czy zagraża nam lepperyzacja nauki?

Maciej W. Grabski

Seminarium na Wydziale Chemii UW, 10 marca 2004

To, że nauka w Polsce znajduje się w stanie kryzysu jest od kilku już lat elementem powszechnej świadomości. Początkowo broniliśmy się przed taką konstatacją, a obecnie, jak zwykle staramy się dopatrywać źródeł tego kryzysu nie u siebie samych, ale poza systemem nauki, najczęściej w głupocie polityków, którzy nie dają nam dość środków na nasze pensje i badania, lub w głupocie społeczeństwa, którego niski poziom wykształcenia powoduje, że lekceważy ono nasze problemy. Opierając się na takich założeniach (które, jak dziś wiemy są jednak nieprawdziwe) środowiska naukowe adresują swoje żale i pretensje wyłącznie „na zewnątrz systemu”.

Ale ostatnio niektórzy z nas ze zgrozą spostrzegają, że w naszej pozornie uporządkowanej enklawie nauki zaczęło się dziać coś niepokojącego, coś co wykracza poza ramy zdefiniowanego już kryzysu w nauce, że wkrada się jakiś cień niepokoju, którego natury nie potrafimy, a być może nie chcemy lub wręcz boimy się określić.

Ten niepokój wiąże się z między innymi z narastającą liczbą publikacji prasowych pokazujących środowiska akademickie i naukę przez pryzmat oszustwa, plagiatyzmu niekompetencji, korupcji nie tylko intelektualnej, konfliktów interesów, pościgu za pieniędzmi, serwilizmu, kastowości, nepotyzmu, seksizmu, molestowania, a nawet, jak ostatnio czytaliśmy i mobbingu. Nastąpiło zdematerializowanie jakichś ochronnych barw i zamiast oczekiwanego uwielbienia i zachwyty dla naszej działalności spotykamy się z nienabożną uwagą, dostrzegającą wśród nas taką samą miałość, nijakość oraz patologie podobne to tych, jakie występują i w innych obszarach postpeerelowskiej rzeczywistości. Wielu z nas to oburza, gdyż uważamy za niedopuszczalną sytuację, by o nas mówił ktoś inny niż my sami, ponieważ nadal nieprawnie uznajemy naukę za autonomiczny obszar uprawniony do kierowania się własnymi prawami niezależnie od pozostałych dziedzin rzeczywistości. Inni chętnie mydlą sobie oczy uzyskiwaną z badania opinii publicznej informacją o wysokim społecznym uznaniu dla pozycji profesora, a przecież tak naprawdę to nie my mamy taką wysoką pozycję, to inni tracą ją jeszcze szybciej!

Ten zewnętrzny ogląd nauki nie może jednak zostać zlekceważony, tym bardziej, że podobne głosy pojawiają się coraz częściej i wewnątrz nauki, o czym można przekonać się studiując choćby anonimowe internetowe listy dyskusyjne nauce poświęcone.

Szczególnie szokujący obraz wyłania się z lektury setek postów umieszczanych od jesieni na portalu Gazety Wyborczej w związku z dyskusją dotyczącą szans młodych w nauce, ostatnio zintensyfikowanej listem do *Nature* Cezarego Wójcika i odpowiedzią Macieja Żylicza, oraz artykułami Danuty Zagrodzkiej. Obraz ten jest zaskakująco ponury i pesymistyczny a jego nowy, niespotykany dotąd w tej skali element to ujawniający się niezwykle wysoki stopień frustracji młodego pokolenia w nauce. Takiego poziomu frustracji nie pamiętam z czasów moich młodych lat, gdy sam byłem mocno sfrustrowany konfliktami, które wciąż miałem ze swoim pryncypałem, typowym okazem ekstremalnego feudała. Ten poziom frustracji zaskakuje, gdyż jak zauważył jeden z nieco przytomniejszych uczestników owych dyskusji, sytuacja w nauce jest obecnie nieporównanie lepsza niż za tamtych czasów. Jak można przypuszczać, nastroje te mają związek z ogólną kondycją psychiczną która opanowuje młode pokolenie Polaków i staje się niebezpieczna, gdyż w koniunkcji z innymi patologiami, nękającymi zarówno społeczeństwo jak i stanowiące jego nieoddzielny element środowisko naukowe prowadzi wprost do zaimportowania do wnętrza nauki zjawisk, które socjologowie nazywają lepperyzacją. A więc lepperyzacja nauki?

Śledząc wspomniane internetowe forum można wymienić następujące cechy prezentowanych przez uczestników postaw:

1. anty establishmentowość (cytaty: obecny kuriozalny system nauki w Polsce nie ulegnie zmianom, jeżeli pozostanie wyłącznie w rękach profesorskiej przewodniej siły narodu. Obecni decydenci się nie zreformują bo im odpowiada decydować i za nic nie odpowiadać, mieć pieniądze na badania z których nie muszą się rozliczać, ręcznie sterować awansami aby zapewnić sobie i swoim dostatni żywot i narzekać na biedę i brak uznania ze strony społeczeństwa)
2. etatystyczna rewolucyjność: (nie trzeba czekać, aż stara gwardia coś dla nas zrobi, zjednoczmy się, powołajmy Stowarzyszenie nawołujące do reform i nagłaśniające patologie. Póki nie spali się wszystkiego do gołej ziemi i na nowo nie zasieje, nic z tej jałowej ziemi nie wyrośnie. Rozwiązaniem jest stworzenie nowej elity).
3. wysoki poziom frustracji i agresji (w Polsce brak perspektyw, tu wszystko jest nic nie warte. Elity naukowe składają się ze złodziei, którzy nas, młodych, okradają z

wyników i pieniędzy, a dyrektorzy i ich przydupasy robią kasę kosztem innych. Światem polskiej nauki rządzi stado tępych i ograniczonych baranów popierających wzajem swoje ciemne układy. Tabuny młodych pracują na „dorobek” kołesów, którzy od dawna nie wiedzą, czym jest prawdziwa nauka. Profesorowie kradną nasze wyniki dopisując się do publikacji. Nauka jest taka jak jej elita, żywcem wyjęta z czasów Bieruta).

4. całkowity upadek autorytetu mistrzów a równocześnie wielokrotnie zaznaczany strach przed represjami z ich strony, oraz silne ego uczestników dyskusji
5. brak zrozumienia istoty nauki na co wskazują śmieszne dywagacje na temat przewagi badań stosowanych nad podstawowymi i odwrotnie i zdumiewający brak wiedzy o systemie w którym się działa (większość uczestników nie wiedziała np, że habilitację można uzyskać na podstawie dorobku, a nie specjalnie wykonanego „drugiego” doktoratu).
6. niezwykle silne ego uczestników oraz fetyszyzowanie różnego typu pseudoobiektywnych wskaźników (ja mam większy impact factor niż cała rada mojego wydziału)
7. wiarą w spiskową teorię nauki (Old Boys Clubs próbują kontrolować naukę na całym świecie)
8. materializację widzenia nauki (wszystko sprowadza się do pieniędzy, taktowanie nauki jako misji to bzdura)
9. idealizacja czasów Gierka (bo wtedy doktoranci dostawali mieszkania)
10. rozdwojenie myślenia: uczestnicy dyskusji aczkolwiek pochodzą ze środowisk naukowych to posługują się absolutnie pozanaukowymi metodami dyskusji i argumentacji.

Prawie wszystkie z wymienionych haseł należą do standardowego kanonu lepperizmu! Wyjątek stanowi prawdopodobnie zawołanie „Spadamy stąd”. Tylko dosyć ciche głosy w dyskusji sprzeciwiały się temu wszechogarniającemu chórowi, spotykając się zresztą natychmiast z ripostą w postaci agresywnego ataku – co również należy do wspomnianego kanonu. Ale równocześnie w wielu głosach przebijała się troska o stan nauki w Polsce i poszukiwanie środków zaradczych.

Co z tym fantem począć? Najłatwiej zbagatelizować całą sprawę, a pojawiające się głosy zbyć jako utyskiwania frustratów czy nieudaczników. Ale ślady podobnych poglądów znajdują również u wielu stypendystów Fundacji, którzy na pewno stanowią wśród młodych zadowoloną elitę. W tej sytuacji nie możemy pozostać obojętni. A więc dlaczego jest tych sfrustrowanych coraz więcej? I kto za to odpowiada?

Nie mam wątpliwości, że takie postawy generują się szczególnie łatwo wtedy, gdy system działa źle, gdy jego działanie jest niezrozumiałe lub nieprzejrzyste, gdy doświadczenie osobiste przeczą oficjalnie głoszonym zasadom, gdy popełniane są kardynalne błędy personalne... A więc frustracja wśród młodych stanowi bezpośredni skutek degeneracji pojawiających się w ich otoczeniu. Tak było zawsze. Wynika stąd, że to jak młodzi postrzegają naukę stanowi odbicie postępującej degradacji zachodzącej we wnętrzu nauki.

Proces lepperyzacji jest już stosunkowo dobrze zdefiniowany przez socjologów, psychologów społecznych i uważnych obserwatorów życia politycznego. Jego źródła jest wiele. Główne stanowi narastanie beznadziejności w licznych grupach osamotnionych i rozgoryczonych ludzi, pozostawionych samym sobie i nie potrafiących sprostać wymaganiom generowanym przez zmienione warunki. Wydawało się, że są to procesy ograniczone tylko do określonych obszarów popegeerowskich pobożowisk, upadłych pomników gierkowskiej gospodarki, bezradnej biedy polskiej wsi oraz małomiasteczkowych targowisk. Ale tak nie jest. Ten stan psychiczny przechodzący od bezradności do desperacji inspirowanej hasłami populistów obejmuje coraz szersze kręgi, rozprzestrzeniając się z obszarów biedy i odrzucenia społecznego na całe pokolenie młodzieży, która zaczyna wierzyć, że znalazła się na straconej pozycji, że własny kraj jej nie potrzebuje, że establishment okopując się na swoich stołkach ją odrzuca lub tylko eksploatuje. Alternatywę dla emigracji stanowi więc pogrążenie się w stanie, który mogę nazwać neo-barbaryzmem. Trawestując myśl z Newsweeka „Winda pomiędzy piętrami nie działa. Jeżeli szybko nie zostanie naprawiona, to się źle skończy dla wszystkich”

Ale jak to się stało, że ów neo barbaryzm mógł przeniknąć do nauki? Warto podkreślić, że krytyczny ogląd nauki, która powinna naszym zdaniem stanowić „uniwersalny punkt referencyjny” dla prawdy, a także świadome odchodzenie ludzi od tej prawdy na manowce różnych mrzonek, stanowi element znacznie szerszego, światowego procesu, który ogarnął wszystkie społeczeństwa, narastając w miarę ich demokratyzacji i rozwoju cywilizacyjnego. Te szeroko opisywane na świecie zjawisko stanowi zaprzeczenie oświeceniowego paradygmatu, w którym się wychowaliśmy. Nie chcę go komentować ani opisywać, gdyż

wykroczyłbym zbyt daleko poza granice swojej kompetencji, ale zwrócenie nań uwagi jest konieczne, dla osadzenia mojej wypowiedzi w nieco bardziej uniwersalnym tle.

Spojrzymy więc na to co się dzieje w środku nauki w Polsce. Nie jest to łatwe, ponieważ każda wewnątrz środowiskowa dyskusja na ten temat nieuchronnie zawęza się wyłącznie do spraw pieniędzy, tak jakby siłą napędową nauki była żądza poszukiwania złota a nie imperatyw poszukiwania prawdy.

Od wielu lat usiłuję wykazać, że największe zagrożenie dla nauki w Polsce (i nie tylko w Polsce) tkwi nie „z zewnątrz” ale „wewnątrz” systemu. Sądzę, że ma ono dwie główne przyczyny. Z jednej strony wiąże się z narastającą głupotą ludzi w obrębie samej nauki, co ma swoje źródła w jej coraz bardziej wyalienowanej, kastowej strukturze, oraz zorientowaniu się uczonych nie na sukces naukowy lecz na medialne czy rynkowe uznanie. Skutkuje to odsuwaniem poszukiwania prawdy na odległe miejsce na liście priorytetów oraz zanikiem dbałości o zachowanie wysokich kryteriów jakościowych i moralnych. Z drugiej zaś strony w naukę wkomponowują się groźne dla niej postmodernistyczne aberracje i zagubienie współczesnego człowieka, który w chwili, gdy nastąpiła utrata zaufania do wszelkich autorytetów, szuka oparcia w łatwych intelektualnie papkach i bzdurach usprawiedliwiających wszystko. Do tego dochodzą silnie oddziałujące na młodzież nurty napędzanej rynkiem kultury masowej z jej kultem prostactwa, z którego uczyniono filozofię i styl bycia. To nie jest dobre otoczenie dla nauki...

Cały ten zgiełk tworzy podatny grunt dla różnego typu patologii i wynikających z nich zachowań i znajduje swoje drastyczne odzwierciedlenie w narastaniu intelektualnej degradacji środowisk naukowych. To nie jest przesadna opinia. Każdy z nas może wskazać liczne przykłady naukowców, w tym nawet własnych kolegów, którzy będąc wybitnymi autorytetami w swoich dziedzinach, stają się żalonymi dyletantami, gdy tylko wyjdą poza ramy własnego warsztatu. W pracy opierają się jeszcze na twardych regułach metody naukowej, natomiast widzenie zewnętrznego świata, w którym żyją i działają, opierają bezkrytycznie na różnej maści pseudonaukowych czy spiskowych teoriach, traktując je i rozgłaszając z powagą jako wykładnię wiedzy o świecie, omaszczanej własnym autorytetem uzyskanym gdzieindziej. To zdumiewające rozdwojenie jaźni, które możemy obserwować również u laureatów Nagrody Nobla musi stawiać pod znakiem zapytania wiarygodność uczonego: jak bowiem można odebrać jego nauki, gdy na przykład subtelności chemii kwantowej połączone są z jego wiarą w moc wahadełka w identyfikowaniu choroby lub w to, że Elvis P. wciąż żyje? Tak więc okazuje się, że człowiek może być równocześnie mędrcom i

głupkiem, profesjonalistą w swoim miejscu pracy i żalosnym dyletantem, czy wręcz idiotą na ulicy lub, co gorsze, w życiu publicznym.

Znamy dobrze ten obraz. Ale kiedyś głupotę ukrywało się wstydliwie, dziś natomiast możemy przez nią zyskiwać poklask i obnosić ją z dumą po salonach, audytoriach i studiach telewizyjnych. A więc swoisty neo-barbaryzm?

Mamy więc do czynienia z rosnącym rozdźwiękiem pomiędzy wąskimi profesjonalnymi umiejętnościami człowieka oraz jego wykształceniem, które polega na umiejętności korzystania z dorobku cywilizacyjnego dla analizowania i rozumienia otaczającego świata. Trywializując: potrafię hodować wieprze, ale moje zrozumienie zasad działania rynku, na którym chciałbym je sprzedać lub uzyskać kredyt opieram na własnym wyobrażeniu a nie na zrozumieniu, natomiast tych, którzy nie podzielają mojego poglądu traktuję jako wrogów i złodziei. Potrafię wykonywać skomplikowane analizy i syntezy, korzystając umiejętnie i krytycznie z zasobów wiedzy nagromadzonych przez pokolenia, ale moje zrozumienie istoty nauki i jej systemu opieram wyłącznie na uogólnianiu swych osobistych doświadczeń. W przypadku hodowcy wieprza można to sobie darować. A w przypadku naukowca?

Obszar tolerancji dla tego typu postaw wciąż rośnie, gdyż mieści się we wspomnianym już postmodernistycznym równouprawnieniu dla każdej głupoty i rosnącym obszarze analfabetyzmu funkcjonalnego. Zaczęło się to dawno, gdy wybitne medialnie postacie zaczęły publicznie chwalić się swoją ignorancją. To też przecież neo-barbaryzm

Niedawno, wychodząc z jakiejś narady podzieliłem się tym poglądem z moim sąsiadem. Ten był nieco oburzony i zarzucił mi niesprawiedliwość. Ale gdy zapytałem go, które z osób obecnych na sali zaprosiłby z przyjemnością do swego domu na kolację, by wdać się z nimi w intelektualny dyskurs, musiał przyznać mi rację. Czyli, jak to się teraz mówi „coś jest na rzeczy”. A przecież dla nauki i jej autorytetu to rozdwojenie osobowości stanowi śmiertelne zagrożenie, prowadząc wprost do nowoczesnego barbarzyństwa!

Temat różnych aspektów psucia się intelektualnego potencjału nauki od środka poruszałem wielokrotnie spodziewając się, że drastyczność tematyki wywoła gwałtowny sprzeciw środowiska, lub co najmniej jakiś odzew. Ku mojemu zaskoczeniu odzewem była cisza, brak echa.... Może więc w swoich wypowiedziach byłem jednak zbyt mało drastyczny?

Zmiany, jakie od kilkudziesięciu lat zachodzą w polskiej nauce i szkolnictwie wyższym nie tylko wiążą się z odintelektualizowaniem środowisk ale również z ciągłym obniżaniem kryteriów jakości. Powoduje to, że stan kadry ewoluuje od dawna w złym kierunku.

Początkowo następowało to pod presją czynnika politycznego, to prawda. Ale od dwudziestu lat to właśnie nacisk idący z uczelni i instytutów stanowi główną siłę motoryczną tego zjawiska. Bo powszechną normę stanowią nie merytoryczne a grzecznościowe, lub wręcz koleżeńskie recenzje, oraz powszechna akceptacja poprawnej bylejakości i nie grożącej nikomu przyczynkowości. Do tego dochodzi jeszcze niezwykle groźna, milcząca tolerancja dla nierzetelności i nieuczciwości naukowej. Zresztą procedury kwalifikacyjne bardzo starannie omijają wszelkie rafy, które można by napotkać, gdyby chciało się uwzględnić nie tylko dorobek, ale i osobowość oraz postawę intelektualną kandydata do stopnia czy tytułu. Jeden z kolegów, gdy podniosłem ten temat powiedział mi, że etyka zawodowa znaczy tylko tyle, że nie powinno się świadczyć przeciwko swojemu koledze. To są zjawiska dla nauki straszne, zabójcze – ich wyplenienie nie zależy jednak od polityków, lecz wyłącznie od nas samych! Zapomnieliśmy zupełnie, że istotą samorządności akademickiej jest nie tyle podział dotacji i przywilejów, ale przede wszystkim dbanie o wysoki poziom naukowy i etyczny własnej społeczności. Za te braki przychodzi teraz płacić coraz wyższą cenę.

To nie rządy czy parlamenty domagają się sankcjonowania tego procesu! Czemu tak naprawdę służy idące od dołów hasło o pełnej autonomiczności uczelni w zakresie nadawania stopni i tytułów? Dlaczego istnieje opór przeciw ciałom akredytującym czy kwalifikacyjnym? Dlaczego wielu chce de facto zlikwidować tytuł profesorski i habilitację równouprawniając wszystkich doktorów? I wreszcie dlaczego tak chętnie dajemy się zwieść różnym wskaźnikom by w miejsce oceny intelektualnej wagi osiągnięcia naukowego wprowadzić wręcz falliczny kult wielkości różnych impact faktorów, które przecież nie mówią nic innego niż to, że ktoś dał się sfotografować w dobrym towarzystwie! To przecież raj dla Nikodemów Dyzmów!

Mechanizmy jakościowe, w systemie o tak wielkiej rozciągłości jak obecna nauka, już dawno przestały działać. Przytoczę tu smakowita anegdotkę z początku lat siedemdziesiątych. Było to wkrótce po słynnej dyskusji na temat feudałów i wasali inspirowanej polityczną chęcią wykoszenia resztek przedwojennych autorytetów. Uczestniczyłem w zebraniu, na którym nowo powołany minister, prof. Jan Kaczmarek uzasadniał wprowadzoną właśnie przez pomarcową ustawą o szkolnictwie wyższym likwidację katedr uniwersyteckich i zastąpienie ich instytutami (co miało na celu poddanie uczelni pełnej administracyjnej kontroli partii). W dyskusji zabrał głos znany z niekonwencjonalnych wypowiedzi fizyk prof. Arkadiusz Piekara. „Panowie” - powiedział tubalnym głosem – „feudałowie legitymowali się jeszcze jakimś swoim feudalnie nadanym tytułem do pełnienia władzy, ale jaki tytuł mają wasale? A teraz

znaleźliśmy się właśnie we władaniu wasali!” I tak to zostało, do dziś czujemy następstwa tych trudnych do odwrócenia zmian.

Ktoś może powiedzieć, że moje poglądy są niesprawiedliwe, ponieważ można zidentyfikować miejsca, czy nawet obszary nauki, gdzie uniknięto podobnych sytuacji, gdzie rzeczy mają się dobrze. Zgoda. Na pewno do takich obszarów należy na przykład chemia, a w każdym razie jej część. Ale ile jest takich miejsc? Jaką część całego obrazu nauki w Polsce one stanowią? Pięć procent? A może siedem? Nasze obserwacje w Fundacji skłaniają do przyjęcia takich właśnie wartości. I czy sytuację całości można określać przez ten dość niewielki jej fragment, pomijając całą resztę?

Moim zdaniem nie można.

Kluczowym dla naszego rozumowania zagadnieniem jest sprawa młodych w nauce. Bo od tego co dzieje się na styku młodego i starszego pokolenia zależy nie tylko klimat panujący w nauce, ale i to jak będzie wyglądało środowisko naukowe w Polsce za lat kilkanaście, gdy obecna anty establishmentowa młodzież zajmie miejsce dzisiejszego establishmentu. Ludzie ze środowisk naukowych, z którymi dyskutowałem o tej sprawie zwykle bagatelizowali problem, twierdząc dość cynicznie, że zawsze tak było, iż młode pokolenie występowało przeciw starszemu powiewając anarchistycznymi sztandarami, ale wystarczało, by zajęło ono miejsce poprzedników, a ich poglądy ulegały radykalnemu odwróceniu. Tak się przecież stało w Europie z pokoleniem 1968 roku. Nie zgadzam się z tym poglądem, gdyż nauka jest czymś innym od polityki, rządzi się, a w każdym razie powinna się rządzić innymi regułami, a o swoim losie decyduje nie na bruku ulic czy w zgiełku wyborczym. W nauce nie ma miejsca na rewolucyjne zmiany ciągłości pokoleniowej. Jednym z najważniejszych mechanizmów nauki, który mimo bardzo licznych błędów jednak się sprawdził, o czym zaświadcza historyczny jej sukces, stanowi zasada odpowiedzialności starszego pokolenia za formowanie swoich następców. Przerwanie tej zasady zawsze kończyło się katastrofą.

Wybitny socjolog Florian Znaniecki zdefiniował uczonego jako człowieka, który pozwolił sobie na uprawianie wiedzy. Trzeba więc postawić pytanie o motywy powodujące że młoda osoba w Polsce pozwala sobie na zostanie uczonym i wchodzi na prowadzącą ku temu ryzykowną i jak się okazuje frustrującą, drogę kariery naukowej. Życie udowadnia, że motywy te pozostają niezmiennie od niepamiętnych czasów. Najważniejszy z nich dobrze przedstawił w swojej autobiografii Max Planck pisząc, że jego decyzja o poświęceniu się nauce była bezpośrednim skutkiem odkrycia, które od wczesnej młodości nigdy nie przestało napępniać go entuzjazmem, a polegało na zrozumieniu dalekiego od oczywistości faktu, że

można używać własnego rozumu do zrozumienia tego, co jest dookoła. Ta chęć poznania, chęć przeżycia przygody związanej z odkrywaniem tajemnicy, z rozwiązywaniem zagadki, choćby była ona bardzo mała, stanowi dla niektórych ludzi niesłychanie pociągające wyzwanie, którego siłą napędową stanowi niezbędny w tym celu optymizm.

Gotów jestem bronić tezy, że z tych właśnie powodów człowiek posiadający charakter UCZONEGO, traktujący naukę nie jako zawód, lecz jako sposób na życie, frustracji łatwo się nie poddaje. I gotów jestem bronić tezy dodatkowej: że człowiek sfrustrowany, niezależnie od tego jaka jest przyczyna tej frustracji uprawiać nauki nie jest w stanie, chyba, że będzie ją traktował nie jako misję życia, ale jako rutynowy zawód.

Tak więc możemy przyjąć, że decyzja o obraniu kariery naukowej jako sposobu na życie stanowi objaw pewnego osobniczego odchylenia od przeciętnej, nudnej normalności, co pozwala uspokajająco wierzyć, że zawsze znajdą się tacy, którzy będą chcieli z pasją naukę uprawiać. Rosnący obszar przemysłu naukowego powoduje jednak, że zaczyna ich brakować dla obsadzenia miejsc w pracowniach i laboratoriach. Już policzono, że do końca 2010 roku zabraknie w europejskich instytutach naukowych około 700 tysięcy ludzi. Tylu uczonych Europa nie będzie w stanie wygenerować, bo sędzę, iż przekracza to jej możliwości intelektualne. A więc w miarę instytucjonalnej rozbudowy nauki powstaje w niej miejsce nie tylko dla uczonych, ale i dla pracowników naukowych, tych niezbędnych przecież robotników nauki, którzy dążą nie za przygodą, ale za chlebem. Mamy więc do czynienia z opozycją postaw: uczony –pracownik naukowy – a więc z pojmowaniem nauki jako sposobu na życie lub jako sposobu na przeżycie. Nauka potrzebuje i jednych i drugich, ale ich kohabitacja przy tym samym stole laboratoryjnym będzie nieuchronnie prowadziła do różnorodnych napięć, chociaż nie sędzę, by miały one krytyczne znaczenie. Wojsku nie przeszkadza, że są w nim oficerowie i żołnierze, pod warunkiem, że i jedni i drudzy znają swoje miejsce w szeregu, oraz, że istnieje czytelny system przepływów. Tylko rewolucyjne armie kierując się populistycznymi ideologiami likwidowały funkcje oficerskie na rzecz komitetów żołnierskich, by później, gdy zaczynało być źle, znowu je przywracać.

Odpowiedzialność za losy nauki nakłada na starszyznę naukową obowiązek szczególnego dbania właśnie o tych, którzy naukę chcą traktować jako sposób na życie, gdyż w ogromnej większości przypadków to właśnie oni wytyczają nauce nowe kierunki. Czy się to komuś podoba, czy nie nauka zawsze była i zawsze będzie elitarną przygodą, która rozgrywa się w niedemokratycznym środowisku, gdyż nauka *per definitio* nie może być demokratyczna.

Gdyby zasady demokracji wprowadzić do nauki to już by jej nie było, bo głupia większość szybko uporałaby się z mądrą mniejszością!

I w tym miejscu pojawia się najbardziej fundamentalny dla rozwoju nauki i dla jej kondycji problem, jaki tworzą specyficzne dla niej relacje międzypokoleniowe.

Wybitny socjolog francuski, Pierre'a Bourdieu postawił tezę, że nauka stanowi pole konkurencyjnej walki nastawionej na szczególną stawkę, jaką jest monopol autorytetu naukowego. Łatwo mi przyznać, że normalnym działaniem każdego rzetelnego naukowca, wynikającym wprost ze stosowania metody naukowej jest konieczność ciągłego dowodnego przekonywania innych o poprawności własnych hipotez i teorii, a więc o własnym autorytecie. Jak wiemy, poprawność koncepcji nie stanowi jednak wystarczającego warunku jej sukcesu: nieraz całe dziesięciolecia upływają, nim uzyska ona uznanie innych i wejdzie do kanonu wiedzy naukowej. Ktoś złośliwie, lecz nie bez racji zauważył, że następuje to zwykle bardziej w wyniku stopniowego wymierania antagonistów, niż dzięki temu, iż zmieniają oni swoje poglądy. Ale zawsze jest tak, że budujemy swój autorytet przeciwstawiając się innym, nawet wtedy gdy udaje się nam przełamać jakąś barierę i otworzyć zupełnie nową nie zapisaną dotąd kartę. Prawdziwe wielkie kariery naukowe powstają raczej na drodze występowania przeciw pogładowi większości, niż poprzez tych poglądów akceptację. Tak więc istnienie wewnętrznych konstruktywnych konfliktów wydaje się być nieodłączną cechą nauki. Ponieważ to właśnie ludzie młodzi zwykle występują przeciw utrwalonym autorytetom, więc ważną rolę w generowaniu tych konfliktów odgrywa zderzenie międzypokoleniowe, a więc antynomia starości i młodości.

Młodzi ludzie łatwo przyjmują, że to co młode i nowe jest tożsame z tym co nowoczesne, a więc lepsze i uprawnione do zastępowania starego. Słuszność tego domniemania trudno jednak potwierdzić. Nauka bowiem wymaga istnienia równoprawnej niezbędności zarówno starości jak i młodości, a mówiąc o młodych naukowcach zawsze równocześnie mówimy o ich starszych (choć niekoniecznie starych) profesorach, a więc osobach posiadających uprawnienia do promowania doktorów. Nauka, która stanowi przecież cechowe rzemiosło jest skonstruowana tak, że jedni nie mogą istnieć bez drugich, gdyż przeciwstawienie się przez ucznia autorytetowi swego mistrza wymaga, aby ów mistrz istniał i mógł przedstawić kontrargument. Jak dotąd, próby zastosowania innej zasady, nie opartej na podważalnym autorytecie, zawsze sprowadzały wiedzę naukową na manowce, z których trzeba było się później ze wstydem wycofywać, lub które prowadziły do klęski i degradacji. A więc ciągłe zestawianie i kohabitacja starości i młodości stanowi immanentną specyfikę działalności

naukowej, co odróżnia ją wyraźnie na przykład od aktywności prokreacyjnej, sportowej, politycznej czy też biznesowej. Nie rozumiejąc tej podstawowej dla rozwoju nauki zasady trudno w ogóle poruszać się w jej systemie.

Na Zgromadzeniu Ogólnym PAN w 2000 r. starałem się zwrócić uwagę na to, że spustoszenie, jakie w środowisku nauki pozostało po Peerele, powoduje, iż wciąż należy przypominać o podstawowym obowiązku, wynikającym z uzyskania statusu samodzielności naukowej, jakim jest tworzenie klimatu i warunków do tego, aby spotkanie z nauką przychodzących do nauki młodych ludzi stało się dla nich wyzwaniem i intelektualną przygodą, która by ich na trwale związała z nauką i motywowała do uprawiania jej na rzetelnym poziomie. Przeglądając corocznie setki aplikacji młodych ludzi o granty czy stypendia widzę, jak wielu z nich trafiło do jałowych intelektualnie miejsc, co powoduje, że nauka ich traci, lub co gorzej, że schodzą oni na niewłaściwą drogę, a grzęznąc w banale i bylejakości są spychani w różnego rodzaju frustracje. Każdy, kto brał udział w ocenie projektów, może to zjawisko potwierdzić. Niejednokrotnie zdumienie ogarnia, jak mało tym młodym ludziom ich profesorowie zaoferowali, jak ich skrzywdzili przez zmarnowanie ambicji, jak zawiedli ich nadzieje. A najgorsze jest to, że niejednokrotnie ci młodzi o tym nawet nie wiedzą, bo wzorzec ich kształtujący był niedobry. Zbyt często można też dostrzec inne dramatyczne wręcz zjawisko: traktowane przez profesurę studiów doktoranckich jako stosunkowo prostej metody zwiększenia jakiegoś pensum, lub też poprawienia takiego czy innego współczynnika stanowiącego podstawę przyznawania dotacji. Odnoszę też wrażenie, że zbyt wielu z garnących się do nauki młodych ludzi zostało przez swoich profesorów po prostu pozostawionych samym sobie i opuszczonych. Inni wreszcie zostali potraktowanych przez tych, którym zaufali, nie jako partnerzy, lecz jako tania siła robocza do wykonywania grantów, lub wręcz jako "mięso profesorskie", potrzebne jedynie po to, aby wykazać się przed Centralną Komisją posiadaniem wypromowanego doktora. W takich warunkach nie ma miejsca na kształtowanie osobowości przyszłego naukowca, na jego formowanie intelektualne, na przygotowywanie do przyszłej samodzielnej roli. Nic więc dziwnego, że tym młodym, którzy zdają sobie sprawę z tego, że tkwią z patologicznej sytuacji nie pozostaje nic innego jak szukanie swojego miejsca za granicą. Motywem wyjazdu nie jest to iż TAM jest lepiej. Głównym powód tkwi w tym, że TU jest źle. W zamkniętym systemie nauki w Polsce innej możliwości na wyrwanie się z podobnego intelektualnego grajdola praktycznie nie istnieją.

Czy możemy coś z tym zrobić, czy można się ochronić?

Najłatwiej powiedzieć, że coś powinien zrobić rząd, ale tym samym wpisalibyśmy się w postpeerelowskie myślenie. Trudniej odnieść się do nas samych, bo wymagałoby to nie tylko inicjatywy i wysiłku, ale co więcej również po prostu rzetelnego spełniania swojej powinności.

Łatwo mi to mówić wśród chemików, bo z tego co obserwuję jest to jedno z bardzo nielicznych w Polsce środowisk naukowych, które dalekowzrocznie dba o swoją młodzież, co mogę zaobserwować w trakcie spotkań z laureatami różnych konkursów Fundacji.

Wiemy, że sytuacja młodych naukowców jest w Polsce niełatwa. Odnosimy to jednak zwykle do ich statusu materialnego, ale tak naprawdę podstawową przeszkodę w karierze naukowej młodzieży stanowi sama struktura nauki, która podobnie jak w wielu innych krajach europejskich, wciąż sprzyja raczej starszym pokoleniom. Kariera ta jest pełna formalnych, niepotrzebnych przeszkód, przez to starsze pokolenie usypanych, co powoduje, że wiek w którym następuje niezbędne do rozwinięcia skrzydeł usamodzielnienie naukowe jest w Polsce absurdalnie wysoki. Portrety sędziwych brodatych uczonych w naszych laboratoriach mylą: wtedy, gdy dokonywali swoich największych odkryć byli oni jeszcze młodymi ludźmi!

Młodzi garną się wciąż do nauki, co wskazuje na ich determinację i nawet wywołuje nasze zdziwienie, że droga naukowej kariery jest mimo wszystko wciąż atrakcyjna. Ale czy przypadkiem nie jest tak dlatego, że dla wielu stanowić może ona odskocznię do względnie atrakcyjnej emigracji, lub też, że status doktoranta jest mimo wszystko jakąś rozsądną alternatywą wobec zasiłku dla bezrobotnych? Nie cieszymy się nadmiernie z tego, iż liczba uczestników studiów doktoranckich przekracza obecnie 30 tysięcy. Wiemy jak te studia są zwykle zorganizowane, dlatego też wątpię by aktualny stan środowiska naukowego w Polsce potrafił mądrze tak tłum ludzi poprowadzić ku nauce.

Tym bardziej więc musimy to dobre i najlepsze troskliwie pielęgnować i wyróżniać, bo - jak to stwierdził Mikołaj Kopernik - złe, gdy nie pilnowane, zawsze rozmnaża się szybciej. Jeżeli tego nie zrobimy, to wykreujemy pokolenie neo-barbarian a proces degradacji i rozpadu będzie tak szybki, że nim się zorientujemy wokół nas zostanie pustka. Jeżeli się uważnie rozejrzeć dookoła, to perspektywa taka wcale nie wydaje się niemożliwa, gdyż obszary barbarzyństwa już istnieją, a proces lepperyzacja w nauce rozpoczął się w czasach, gdy o Andrzeju Lepperze nikt jeszcze nie słyszał. Ale teraz znalazł on swoje silne oparcie w bodźcach przychodzących do nauki z jej społecznego otoczenia...

Kończąc zacytuję bpa Życińskiego: *Barbarzyńcy już przyszli i w majestacie powierzonego im prawa zademonstrowali pełnię prymitywizmu swej kasty, by zmiażdżyć ludzi, którzy nie okazywali zainteresowania, by podjąć działania....*

Inne wypowiedzi autora związane z tematem:

[Wykład](#) w czasie uroczystości nadania doktoratu hc na AGH

Referat z konferencji FNP "Starość i młodość w nauce" pt [Konflikt pokoleń czy interesów?](#)

Wywiad w "Rzeczpospolitej" pt [Grzech banalności](#)

Wystąpienie na 93. Sesji Zgr.Og.PAN (maj 2000) pt [Młody polski naukowiec u progu XXI w.](#)

Wystąpienie na seminarium PAU, 17 lutego 2003 r. w Krakowie [Czy nauce potrzebna jest autonomia](#)

Opracowanie [Dobra praktyka naukowa](#) (przygotowane w ramach prac Zespołu KBN ds. Etyki w Nauce)

Poczta: mwg@fnp.org.pl